

# Drżący ptak



**J**adę do Petersburga. Ostatni raz byłam tam dwadzieścia trzy lata temu. Nazywał się Leningrad. Kiedy stamtąd wyjeżdżałam, przysięgłam sobie, że to był ostatni raz. Jadę grać „Callas”. Wyjeżdżam niechętnie.

Zofia Mrozowska nie uczyła mnie nigdy. Nie znałam jej jako pani profesor ze szkoły, znałam aktorkę, na której rolę chodziłam sama, po cichutku; po cichutku je oglądałam i wychodziłam po cichutku, żeby niczego nie spłoszyć. To było tak, jakby się oglądało trzepot niezwyklego, zranionego ptaka, i zawsze miałam uczucie, że nie należy nawet oddychać, żeby ten niepokój, to drżenie, to piękno, nie były dla niej jeszcze bardziej bolesne. Wtedy, dwadzieścia lat temu, wyjechała z nami, studentkami trzeciego roku warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, która nazywa się teraz Akademią, do Leningradzkiego Instytutu Teatralnego, w ramach wymiany. Wyjechała jako nasz opiekun artystyczny. W Rosji nie miałam interesów do zrobienia: dżinsów do sprzedania, złota do kupienia, wódki do wypicia, przyjaciół albo rodziny do odnalezienia. Koledzy z roku uznali – będziesz się Nią zajmować. I tak spędziłam z tym pięknym ptakiem dwa tygodnie w Leningradzie, i tak postanowiłam sobie, że nigdy tam nie wrócę, bo mnie, a głównie Ją, popychali tam na przejściach dla pieszych.

Pierwszego dnia zaproszono nas na zajęcia, wykłady w ich szkole i cały dzień tłumaczono, że nie wolno u nich grając reagować indywidualnie. Studentki uczą się powtarzając wiernie sposób, w jaki zakochiwała się w mężczyźnie np. Tatiana Samojłowa w jakimś filmie z roku 1952, oglądając ją na ekranie i naśladowując. Poczulałam, że ptak w pani Zofii zaczyna drgać z niepokoju, a kiedy jakaś wyjątkowo zapalczywa tatarska dziewczynka pchnęła szpadą wyimaginowanego Hamleta, zachowując się jak Horacy w inscenizacji moskiewskiej „Hamleta” z roku 1948, ścisnęła mnie gwałtownie za rękę i poprosiła, żebym pomogła jej stamtąd wyjść. Trzepoczący, delikatny ptak upadł bez sił na łóżko w swoim pokoju.

Następnego dnia zaprowadzono nas do małego pokoju, posadzono pod ścianą i oświadczono, że oto będziemy świadkami nowej metody nauki aktorstwa przez hipnozę. Zamknięto z nami dwoje

młodych studentów, Tanię i Alikę, a jakiś szarlatan w powypychanym, elastycznym, szafirowym garniturze, paląc papierosa, zaczął nas hipnotyzować. Pani Zofia wbiła paznokcie w mój łokieć i szeptem błagała, żebym ją obudziła, gdyby się okazało, że na nią to działa. Nieogolony szafirowy hipnotyzował nas tak: „Adin, dwa, tri, cztery, myszcy swobodny (mięśnie rozluźnione)! – darł się. – Wsio spokojna, wsio wielikaliepna! – krzyczał. – U was jest dużo przyjaciół – charczał. – Jesteście kosmonautami! Wyobraźcie sobie wielką łąkę, dużo kwiatów, wszyscy was kochają i przyszedli was żegnać! (operuję dużym skrótem, bo darł się tak na nas z piętnaście minut, powtarzając co chwila przerażające »myszcy swobodny!, wsio spokojna! wsio wielikaliepna!«). Wsiadajcie do rakiety i... Dziesięć, dziewięć, osiem! Jeden i... Alik wstanie i powie nam teraz monolog z Czechowa!” I przysięgam Bogu, całkowicie zahipnotyzowany Alik powiedział, z zamkniętymi co prawda oczami, ale absolutnie genialnie monolog z Czechowa i usiadł. Szafirowy na to wrzasnął: „Tri! Dwa! Adin... Tania!!!” Ale Tania dostała czegoś w rodzaju drgawek i na naszych oczach ją wynieśli, a nasz hipnotyzator oświadczył, że Tania się za bardzo zahipnotyzowała. Pani Zofia, slaniając się, wyszła z „pokoju nowych metod”, a ja holowałam ją roztrzęsioną, starając się uspokajać, sama nie mogąc sobie poradzić z tym, co przed chwilą zobaczyłam.

Kolejnego dnia poszliśmy obie do teatru na „Zmowę świętoszków” Bułhakowa. Ten spektakl był tak niezwykły, że musiałabym tu pisać tydzień, a Jurski w roli Moliera jest do dziś kimś najwspanialszym, kogo udało mi się widzieć. Nigdy potem ani nigdy przedtem żaden aktor nie zrobił na mnie takiego wrażenia.

Dowiedziałam się kilka lat później, że dostał zakaz występowania w dużych miastach, ale nie o tym tu, pozornie, mowa.

Pani Zofia płakała po cichutku z zachwytem przez cały spektakl, a potem była tak szczęśliwa i wdzięczna za to przedstawienie, że pół godziny potrząsała ręką nic nie rozumiejącej babci klozetowej, szepcząc wzruszona: „Spasiba, spasiba...” Z trudem wyciągnęłam ją na ulicę i nakloniłam do powrotu w realny świat. Na ulicy – kłopot, pani Zofia ze wzruszenia zapomniiała w teatrze odwiedzić toaletę. Konia z rzędem temu, kto by

wtedy w Leningradzie znalazł toaletę. Znalazłam. Na jakimś placu, jedyną, ale okazało się, że to jest toaleta koedukacyjna, i że w związku z tym pani Zofia tam nie wejdzie. Spojrzałam na nią bezradną i postanowiłam działać. Weszłam, omówiłam sytuację z kolejną babcią klozetową, a ta bez chwili namysłu wstała, stanęła na szeroko rozstawionych nogach i krzyknęła: „Tawariszczi!!! Adna żeńszczina iz Polszy itd... i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, uśmiechnięci, dopinający rozporki mężczyźni, zaczęli wysypywać się z kabin. Wyszli na ulicę, a przerażona pani Zofia, dygając w podzięce, szła szpalerem pozdrawiających ją i Polskę panów. Po chwili wyszła, umierając ze wstydu, a oni poklepali ją po plecach, powiedzieli, że przez to miejsce, na którym stoimy, Dostojewski codziennie przechodził do biura, i... wrócili do kabin dokończyć. Potem pani Zofii nie widziałam ze dwa dni.

Pod koniec pobytu kupiła mi w prezencie lalkę, powiedziała, że jest bardzo wdzięczna, że mi dziękuje, a przeżyliśmy jeszcze potem wiele, wiele niezwykłych momentów, choćby świętowanie Dnia Pioniera czy odwiedziny w pokoiku Raskolnikowa.

Po tym pobycie Leningradzki Instytut wyróżnił mnie propozycją studiowania u nich, bo u mnie „talent wielkiej, tiochniki niet”, ale ja z przerażenia wolalam zająć w ciąży.

Tego kraju straszno i pięknego, tego miasta nie potrafię przypomnieć inaczej, jak tylko mając przed oczyma delikatnego, pięknego ptaka, którego przyszło mi tam trzymać za skrzydła. Wróciłyśmy. Ja w rzędy Teatru Współczesnego, żeby usiąść jak dawniej, po cichutku, pani Zofia, żeby rozdáwać lęk i nieśmiały uśmiech ze sceny. Nie rozmawiałam z nią już potem nigdy. ✚

*Krystyna Janda*

PS Byłam tam tylko dwa tygodnie, mogłabym o tym pisać książkę, ale czy to dziś warto? Jadę, zobaczę. A z drugiej strony, taką miałabym ochotę opowiedzieć, jak Zbyszek Zapasiewicz wrzucił kiedyś lakierowany but do Newy. Ale może innym razem albo jego o to zapytajcie.